Z NOWYM ROKIEM.

Rozpoczynamy trzeci rok naszego wydawnictwa. Czyniąc obrachunek z dodatnich i ujemnych rezultatów naszej pracy, dochodzimy do następujących wyników:

Zainteresowanie się ogółu podniesionemi przez nas kwestyami wzrasta w szybkim tempie, co znajduje swój wyraz choćby w tym fakcie, że wszystkie prawie pisma społeczno-literackie zaprowadziły stałą rubrykę, poświęconą »kwestyi kobiecej".

Kulturalny poziom odnoszących się do kobiety pojęć etycznych, obyczajowych i polityczno-prawnych podniósł się ogromnie a stanowisko kobiety, jako jednostki ludzkiej oraz jako części składowej rodziny i społeczeństwa, nabiera należnego jej znaczenia.

Ruch stowarzyszeniowy w celach samokształcenia lub samoobrony wśrod kobiet wzmaga się, obejmując coraz szersze sfery kobiece, budząc w nich poczucie swojej wartości, swojej siły, swoich praw — a co za tem idzie rozwijając indywidualność kobiecą w dziełach jej charakteru, woli i rozumu.

W najdalszych zakątkach kraju a nawet za granicą, gdzie tylko żyje garstka polaków, zyskujemy czytelników, którzy nadsełają nam listy pełne słów szczerych i gorących, oraz zapewnienia że „Nowe Słowo", jego cele i dążenia, znajdują oddźwięk w postępowych i uspołecznionych warstwach naszego społeczeństwa.

Mimo to wszystko — rozpoczynamy trzeci rok naszej pracy w niepewności czy nie będzie on ostatnim — bo mimo widocz-

nych i rosnących stale dodatnich rezultatów naszych dotychczasowych wysiłków, walczymy jeszcze wciąż z deficytami.

Wzrastająca liczba prenumeratorów nie wystarcza dotąd na pokrycie kosztów wydawnictwa ponieważ: — przedpłaty zalegają lub uiszczone bywają bardzo nieregularnie — żądania zniżek, najczęściej usprawiedliwione, są nazbyt częste — rozsyłanie bezpłatnych i recenzyjnych egzemplarzy obciążając budżet wydawnictwą — nie równoważy się poparciem powołanych do tego osób, instytucyi i stowarzyszeń.

W bieżącym roku — wydatki nasze znacznie wzrosną, z powodu rozszerzenia pisma dodatkiem poświęconym wyłącznie interesom kobiet pracujących zawodowo, który uznaliśmy za konieczny. Nie chcieliśmy obciążać nim budżetu naszych dotychczasowych prenumeratorów, dla tego nie podnieśliśmy ceny „Nowego Słowa". Liczymy jednak że czytelnicy nasi zechcą w zamian za to zjednywać nam nowych prenumeratorów, aby oni zwiększone koszta nakładu pokryć dopomogli.

Oby oczekiwania nasze nie okazały się złudzeniem — a „Nowe Słowo" mogło wzrastać w moc i powagę — którąby zjednała nam dostateczną ilosć zwolenników, by ząpewnić trwałosć naszej prący. Tego życzymy na ten Nowy Rok Czytelnikom naszym i sobie. *Redakcya.*

UPRZEMYSŁOWIENIE GALICYI A STOWARZYSZENIA SPOŻYWCZE.

Mimo zapału i szczerego oddźwięku, jakie hasło uprzemysłowienia Galicyi znalazło u nas i poza bezpośrednio zainteresowanemi warstwami, mimo zrozumienia, że brak rodzimego przemysłu jest, obok opłakanych stosunków agrarnych, jedną z najważniejszych przyczyn materyalnej nędzy i w parze z nią idącej niskiej kultury mas ludowych — dziwnie jakoś zwolna ta akcya uprzemysłowienia naprzód postępuje. Powstanie nowej fabryki, to ciągle jeszcze wypadek rzadki i odosobniony w naszem gospodarczem życiu, ciągle jeszcze ciężką biedę klepiący rzemieślnik, to typowy przedstawiciel galicyjskiego producenta, i ciągle jeszcze bankrutujący kramikarz, którego miejsce dwaj nowi kandydaci na rychłych bankrutów zaj

mują — obraz niby rozmnażania się przez rozdzielanie, przeniesiony z niższych jestestw zwierzęcych do niższych jestestw gospodarczych — jest zjawiskiem codziennem, nie będącem już w stanie nikogo zadziwić ani zatrwożyć.

Istniejące już wielkoprzemysłowe przedsiębiorstwa, ani też pojawiawiający się z inicyatywą kapitał, nie mogą skarżyć się na brak uznania i zachęty. I owszem! Jak przed 100, 200 laty w Austryi i we Francyi, tak u nas teraz każde założenie nowej fabryki uważane jest nieomal że za czyn patryotyczny, a popieranie rodzimego przemysłu za obywatelski obowiązek. Ale patryotyzm ten, do którego w okresie merkantylizmu państwa środkowo-europejskie zmuszały swoich poddannych surowymi zakazami przywozu obcych wyrobów — łagodzonymi zresztą uprawianiem na wielką skalę przemytnictwem — w ciało się oblec niechce. Mimo zrozumienia potrzeb kraju, mimo teoretycznego godzenia się na konieczność zdobycia możności rozwoju bodaj kosztem pewnych ofiar, w praktycznem życiu idzie się zdawna utartą drogą, kupowania tego, co lepsze i tańsze, a nawet tego, co nie jest ni lepsze ni tańsze, ale poprostu podane przez kupca.

Zaczęło się więc powoli budzić poznanie, że między teoryą a życiem przepaść tak wielka, a zwarta większość, do której się i teorya nie przybłąka, tak liczna, iż bezpośrednie odwoływanie się do mas kupujących nie da nigdy tego skutecznego poparcia w walce z rozwielmożnionym już u nas obcym przemysłem, którego kiedyś, słabą płonką, broniła silna ręka absolutnego monarchy. I weszliśmy teraz w fazę nową: utyskiwania na handel, na kupiectwo, które wobec akcyi uprzemysłowienia kraju zachowuje się niby obojętnie i zwraca się do obcych rynków po towar, który w równej dobroci i w równej cenie otrzymać może w kraju. Brak poparcia przez kupców, pośredników między wytwórcą a kupującą publicznością, ma być przyczyną, że konsumenci nie znają ani zakresu, ani rozmiarów krajowej produkcyi, że domagają się wyrobów firm zagranicznych, w błędnem często mniemaniu, że krajowej podaży w tej dziedzinie niema, lub że się tu obcej rzeczywiście pierwszeństwo należy. I w ślad za tem idzie znowu dziennikarska nagonka z podaniem nazwiska szkodnika i poszkodowanego, o niemiłym zapachu ukrytego pod obywatelską akcyą inseratu, reklamy, zemsty, albo nawet zwykłego wymuszenia.

Na dnie walki tej przemysłowców z kupiectwem, które się jakoś nie garnie pod sztandar rodzimej wytwórczości, spoczywa nie mniejsza lub większa doza patryotyzmu, nie gorliwość jednych, opieszałość zaś drugich, ale pewna, no powiedzmy, szczupłość kapitałów po obu stronach. Handel nasz przyzwyczajony jest do długoterminowego kredytu towarowego, który znajduje, choć nie tanio, w Wiedniu i w Czechach i obyć się już bez niego

nie umie. Zasobni w kapitały zagraniczni fabrykanci, którym wobec tego, że stają w szrankach na międzynarodowych targach, gdzie najmniejsza różnica w kosztach produkcyi może się stać momentem o zwycięstwie rozstrzygającym a możność produkowania na wielką skalę zapewnia znaczne bardzo korzyści, godzą się często na udzielanie tak łatwego kredytu, że interes kupiecki staje się dla wierzyciela, w oczach niewtajemniczonych, podobnym grze na loteryi. Ale — ponieważ kraj, uchodzący za złego dłużnika, drożej płacić musi i za pieniądz i za towar, uczciwi odbiorcy ponoszą następnie koszta udzielanego nieuczciwym kredytu, a pozorna loterya jest w rzeczy samej tylko dokładnym rachunkiem kupieckim.

Kupiec galicyjski obyć się bez długoterminowego kredytu zupełnie nie może, bo sam jest zmuszony do ustawicznego kredytowania. Począwszy od rzemieślnika aż do radcy sądowego i profesora uniwersytetu, wszystko u nas bieżące potrzeby opędza długami u dostawców. „Kupiec poczeka", oto maksyma, która stała się prawie że punktem ciężkości naszych gospodarstw, owym portem, do którego życiem nad stan zdążają nawet zamożni. A kupiec rzeczywiście czeka — bo inaczej gotów jest poczekać jego współzawodnik, mający sklep tuż obok, albo ten drugi z przeciwka, lub trzeci z rogu ulicy. Zadłużony zaś konsument nie pyta często o cenę, nie bada jakości, szczęśliwy grzecznością kupca, płaci za nią procentem, którego wysokość by go przeraziła — gdyby ją mógł obliczyć.

I na to wiecznie spienione morze naszego gospodarczego życia, po nad którą wichurą przeciąga niewypłacalność, puszcza sie nagle wątła barka rodzimego przemysłu. I nie dziw, że jej tutaj nie swojsko, że się trzyma lękliwie brzegu, zamiast wypłynąć na pełne morze, groźne nawet dla silniejszych i wytrzymalszych!

Historya europejskiego przemysłu, to historya czułej, rodzicielskiej opieki rządu, strzegącego długiego niemowlęctwa jedynaka bezwzględnem poświęceniem jego potrzebom i wymogom, wszystkich innych interesów. Na skargi kupców wiedeńskich za Maryi Teresy, żalących się na konieczność sprzedawania krajowych wyrobów wobec zakazu sprowadzania obcych, odpowiedziała izba dworska, „że ustawy są na to, by uczyć opornych patryotyzmu". Skargi cechów i skargi konsumentów w okresie gorączkowego "uprzemysłowiania" wywoływały lekceważące odpowiedzi lub wprost nagany — przemysł narodowy, który miał się stać dźwignią silnego, uarodowego państwa, był celem tak ważnym, że gwałcono dla niego wszelakie tradycyą nabyte prawa w dowolnej ilości.

Społeczeństwo galicyjskie nie może dać miejscowej wytwórczości tak daleko idącej opieki prawnej, ani nawet, prócz bezpośrednio interesowanych, nie pragnie interesów szerokich mas ludowych wydać na łup garstce wytwórców, która tak chętnie swoje interesa zarobkowe utożsamia z inte-

resem krajowego przemysłu, ale obowiązkiem jego jest postarać się o ten jedyny „merkantylizm“, który wszystkim warstwom narodu w równej mierze korzyść przyniesie: o uzdrowienie stosunków płatniczych, o zerwanie z życiem na kredyt. Nie da się to uskutecznić dziś, ani jutro, nie da się to uskutecznić kazaniem ani namową, ale przywołaniem do życia instytucyj gospodarczych, będących urzeczywistnieniem zasady płacenia gotówką, a dających przytem rzetelne korzyści ekonomiczne, równoważące sowicie ową chwilową dogodność, czekania na zapłatę prywatnych kupców.

Stowarzyszenia spożywcze są właśnie takiemi instytucyami. Polegają one na tem, że konsumenci za pieniądze, złożone początkowo składkami, a następnie udziałami, które każdy nowo do stowarzyszenia wstępujący nabyć musi, zakupują towary, sprzedawane następnie w składach stowarzyszenia za gotówkę po cenach przyjętych w miejscowym handlu. Różnica między ceną zakupu a detalicznej rozsprzedaży daje, po odtrąceniu kosztów kupieckich, nadwyżkę, stanowiącą zaoszczędzoną własność członków. Stowarzyszenia zakupują za gotówkę, by uzyskać niskie ceny zakupu i sprzedają za gotówkę — bo nie istnieje dla nich obawa przed współzawodnikiem, prowadząca do imania się nierzetelnych środków.

Nie żądać i nie udzielać kredytu, by tanio kupować i tanio sprzedawać, oto zasada kupiecka stowarzyszeń spożywczych, które dlatego też mogłyby się stać z czasem najodpowiedniejszemi miejscami zbytu krajowych wyrobów. Prócz płacenia gotówką, może stowarzyszenie spożywcze w masie sprzedawanych towarów oddawać ten lub ów krajowy wyrób, jeżeli tylko istnieje dla niego możność pomyślnego na przyszłość rozwoju, na razie bez żadnego zysku i stać się oparciem dla niejednej gałęzi przemysłu, która wobec zagranicznej konkurencyi nie ostałaby się własnemi siłami.

Do wielu zadań, które spełniają zagranicą stowarzyszenia spożywcze, przyłącza się u nas jeszcze jedno, popieranie przemysłu krajowego, na początek w szczupłym bodaj zakresie codziennego, gospodarskiego zapotrzebowania. Ale przykład Anglii, Niemiec, Szwajcaryi, Belgii itd. uczy nas, że stowarzyszenia spożywsze rozszerzają ustawicznie zakres swej działalności. Od środków żywności przechodzą powoli do sprzętów i naczyń, bucików i konfekcyi, a nawet kuszą się już o budowanie mieszkalnych domów swoim członkom. Każda nowa placówka, zdobyta przez stowarzyszenia spożywcze, mogłaby stać się nową dźwignią dla krajowego przemysłu.

Członkami stowarzyszeń spożywczych są, jeśli nie zawsze nominalnie, to przecież zawsze faktycznie kobiety-gospodynie, przez których ręce pieniądz, przeznaczony na utrzymanie rodziny, przepływa w drodze do

kupca, które rozstrzygają nie tylko co, ale i gdzie zakupywać. Tam więc, gdzie stowarzyszenia spożywcze jeszcze nie istnieją, świadome swych społecznych i obywatelskich obowiązków kobiety w pierwszej linii wziąć się powinny do organizowania konsumu, do dopełnienia swoich gospodarczych wysiłków, rozumnie obmyślanem spożyciem. Będzie to nie ta bierna uległość modnym hasłom, która składa poniewoli ofiary dla obcych sobie celów, ale świadomem współdziałaniem w pracy o uznanym pożytku, środkami uznanymi za odpowienie. „Uprzemysłowienie kraju“, podające nowe wyroby drogą prywatnych sklepów, spotkać się musi z nieufnością i obojętnością kupujących, którzy nie są w stanie sami ocenić, gdzie się kończy interes produkcyi krajowej, a zaczyna samolubstwo krajowych producentów, gdzie kończy się ofiarność, której wymagać jeszcze można, a zaczyn. wyzysk. Stowarzyszenie spożywcze, którego zarząd składa się z osób, zastępujących przedewszystkiem interesy konsumentów, dać może członkom swym pewność, że ich dobra wiara i chęć dobra nie zostaną nadużyte. Oszczędność kryje tu koszta ofiarności, a jawność wskaże, kiedy powiedzieć należy: dotąd — ale nie dalej! *Helena Gumplowicz.*

BIURA BEZPŁATNYCH PORAD PRAWNYCH DLA KOBIET.

Pod powyższym tytułem istnieje w Niemczech instytucya, wywierająca nader szeroki wpływ dodatni na masy kobiet pracujących, chroniąc je od wielu niesprawiedliwości i ucisków. Wiele kobiet czy to wskutek ignoracyi, czy lekkomyślności, czy wstydu fałszywego, woli raczej zrezygnować z praw im należnych, niż udać się do sądu lub adwokata. Tym więc właśnie nieświadomym przyjść z pomocą, te biedne ofiary lada sprytniejszego przedsiębiorcy, lada pomysłowego „narzeczonego“ ocalić przed obdarciem z ciężko zarobionych pieniędzy, a często i czci jest zadaniem biur pomocy prawnej. Streścimy tu proces ich powstania i działalności. Data powstania zbiega się z datą nadania nowego kodeksu cywilnego w Niemczech. Kodeks ów budził wielkie zainteresowanie nietylko w kołach fachowych, lecz i u wszystkich osób, zajmujących się ruchem społecznym w ogóle; postawiono rozprzestrzenić znajomość prawa i na szerokie masy w myśl zasady: „Najlepszą obroną przed nadużyciem jest znajomość prawa“. (Beste Rechtsschutz ist die Rechtskentniss). Przedsięwzięto więc cały szereg popularnych wykładów z dziedziny prawa, wydano podręcznik prawny i wreszcie założono kilka biur. Biura te założone i prowadzone przez kobiety, powstały w 1897 roku, obecnie, jak opiewają sprawozdania centralnego biura w Berlinie, ist-

nieje ich 26 w różnych miastach niemieckich jako to: w Bernie (3) Bonn, Bremie, Wrocławiu, Kolonii, Gdańsku, Dessau, Dreźnie, Frankfurcie, Fryburgu, Gorlicach, Halli, Hamburgn, Hanowerze, Heidelburgu i Kielcu (po jednemu) Lipsku, Magdeburgu, Moguncyi, Mannheimie, Monachium, Stuttgardzie i Wiesbadenie (po dwa). Miasta cytowane mają minimum 50 tys. mieszkańców. W Berlinie znajduje się wspomniane już biuro centralne organizacyi, którem zarządza doktór prawa, p. Marya Raschke.

Założenie każdego takiego biura poprzedza zawiązanie towarzystwa, którego członkowie składkami swemi przyczyniają się do pokrycia, minimalnych zresztą kosztów prowadzenia biura. Wynajmuje się następnie lokal zwykle jeden pokój, (w niektórych miastach biuro takie mieści się przy magistratach lub towarzystwach dobroczynności), ogłasza się w dziennikach, tramwajach, dworcach kolejowych, szpitalach, fabrykach o godzinach przyjęć (zwykle wieczornych) i deleguje się po dwie lub trzy panie z łona towarzystwa do przyjmowania klientek. Rola tych pań polega na cierpliwem wysłuchaniu, umiejętnem zbadaniu sprawy i dokładnem zapisaniu. W dalszym ciągu panie zwracają się do adwokata, który (zwykle bezpłatnie) zastosowuje paragraf kodeksu do danego wypadku. Poznawszy więc już w ten sposób wszystkie prerogatywy prawne danej sprawy, biuro bądź interweniuje osobiście, bądź zwraca sprawę na drogę sądową, bądź też, widząc absolutny brak szans wygrania, radzi klientce zaprzestaniu procesu.

Interwencya osobista gra ważną rolę w kłótniach małżeńskich, gdzie mąż-robotnik, widząc kobietę wykształconą, rozumnie, po przyjacielsku tłómaczącą niesprawiedliwość i brutalność jego postępowania z żoną, a głównie czując po za tą zwykle bezbronną ofiarą jego złego humoru, instytucyą silną i uprawnioną, miarkuje się i staje się więcej ludzkim. Ważnym czynnikiem jest tu także opinia publiczna, która np. w kwestyi odpowiedzialności ojca naturalnego wobec dziecka i matki gra decydującą i jedyną rolę, wskutek absolutnej bezkarności tegoż przed prawem.

Instytucya bezpłatnych porad prawnych dla kobiet jest nader pożyteczną w wypadkach np. w których przedmiot skargi jest minimalnej wartości, i stanowiąc wielką nieraz sumę dla biednej wyrobnicy, nieopłaciłby kosztów prowadzenia sprawy. Podamy tu kilka cyfr które najlepiej chyba przemówią do przekonania czytelniczek.

W 26 biurach w roku 1902, 5453 kobiety otrzymały radę i pomoc. Z tych liczba zamężnych resp. wdów i rozwódek o 11. 21% przenosiła liczbę niezamężnych i zarobkujących zaś było o 20. 64% więcej od pozostających bez zajęcia.

Co się zaś tyczy przedmiotu skargi to na 5453 wypadki:

	1902	1901
Kłótnie małżeńskie	840	654
Nieporozumienia w sprawie wynajmu mieszkań . . .	503	400
Nieporoz. między służbą i chlebodawcami	744	502
Sprawy wypłaty alimentów .	551	394
Długi	923	578
Różne (spadki i t. p.) . . .	1722	1267
Kary (specyalnie odszkodowania)	170	143

Przez radę i wyjaśnienie umorzono 40406 spraw, przez prywatny układ 604.

Sądownie 241 (1901: 280). Procesy prowadzone przez obronę prawną dobiegają liczby 202.

Oprócz tego napisano 428 podań do władzy lub osób prywatnych; 46 testamentów i przeprowadzono 14 spraw spadkowych.

Pokojowa działalność biura widoczna jest w tem, że gdy w r. 1901 z 3947 spraw 7·10%, zakończyło się procesem, w 1902 zaledwie 4·43%.

Działalność więc biur pomocy prawnej jest bardzo poważna i przynosi godne uwagi, rezultaty w pracy społecznej. Jako instytucya, mająca na celu nie protekcyjną filiantropię, która poniża, jeno pomoc siostrzaną, opartą na miłości i pracy, mogą biura pomocy prawnej stać się ważnym czynnikiem na polu zbliżenia warstw społecznych. Kobiety, które będą tu pracowały nauczą się patrzeć na życie i jego nędzę nie z sentymentalnem współczuciem istoty wyższej, jeno bacznem okiem człowieka, pełnego miłości mocnej i szczerej i chcącego radę dać skuteczną. Nie cofną się one od życia, mówiąc: „złe i brudne jest, więc usuńmy się od niego i żyjmy w atmosferze mar i złudy!“, ale poznawszy jego bóle, poczną je leczyć w samem jego ognisku t. j. ludziach. *Jadwiga Idzikowska.*

PRACA NOCNA KOBIET W PRZEMYŚLE PAŃSTW CYWILIZOWANYCH.

Faryzeusze filisterscy, mający zawsze ciepły frazes o „domowem ognisku“ na ustach, ilekroć kobiety warstw średnich domagają się dopuszczenia ich do wszystkich pól inteligentnej pracy zawodowo-zarobkowej, z całym spokojem i pełnem przekonaniem, że wszystko jest w porządku i że świat ten jest najpiękniejszym ze wszystkich możliwych światów, spoglądają na dawno już dokonaną emancypacyę kobiet proletaryatu.

Żony i córki proletaryuszy nie od dziś już dzielą z mężami swymi i ojcami ciężką walkę o byt codzienny, a widmo nędzy i głodu zimnem tchnieniem swem już dawno zgasiło ten święty znicz, w imię którego wstecznicy pragnęliby zatrzymać świat w biegu.

Zarobkowa praca kobiet zaczyna odgrywać rolę w życiu zarobkowem społeczeństw, w chwili już, gdy kapitalizm pierwsze stawia kroki w tychże społeczeństwach. Już w XVII i XVIII wieku przemysł domowy, tworzący niejako ogniwo pośrednie między ustrojem średniowiecznym a kapitalizmem nowoczesnym, wciąga masę kobiet do tych gałęzi pracy w pierwszym rzędzie, w których zręczność i zmysł dokładności są wymagane. Kobiety więc zaczynają zapełniać warsztaty tkackie, przędzalnie, hafciarskie zakłady i cały obszar przemysłu odzieniowego.

Z wynalezieniem maszyny znaczenie pracy kobiet wzrasta ogromnie. Nieukwalifikowana, lecz zręczna i zgrabna robotnica staje się niebezpieczną konkurentką robotnika, skutkiem małych swych wymagań i większej podatności na wszelkie sposoby przedsiębiorców, dążących do wydobycia z pracy „swoich“ robotników jak największych zysków. Im bardziej rozpowszechnia się produkcya maszynowa, im bardziej w potęgę wzrasta kapitalizm, tem jaskrawiej występuje praca kobiet i dzieci jako jedna z wybitnych cech tegoż kapitalizmu. Już nietylko wyżej wspomniane gałęzie produkcyi zatrudniają nadal kobiety, lecz i przemysł górniczy i produkcya rolna wciągają całe zastępy kobiet, a szlaki obieżysasów znaczą tysiące stóp wygnanych za zarobkiem „emancypantek wiejskich“.

Maszyna i kapitalizm nietylko jednak „parcelują rodzinę“ na tyle sił roboczo-zarobkowych, ile ona liczy członków, lecz nadto każdemu z członków zarobkujących przedłużają dzień roboczy. Maszyna-automat nie wyczerpuje sił swoich i przytomności; byleby się porządnie podsmarowywało, może pracować nietylko przez cały dzień, bez przerwy, ale w noc późną i całą noc. Kapitalista zmusza więc robotnika i robotnicę, którzy zeszli tylko do prostych sług „rozumnej“ maszyny, by usługiwali jej tak długo, jak długo to dla nich fizycznie jest możliwem.

A tam, gdzie fabrykant cieszy się nieograniczoną swobodą wyzyskiwania sił roboczych, tam wolność wyzysku staje się ustawą; padają wszystkie „krępujące przemysł“ przepisy, a długi dzień roboczy we wszystkich gałęziach pracy zarobkowej oraz praca nocna stają się głównymi czynnikami wzrostu „narodowego bogactwa“ w państwach o rozwijającym się kapitalizmie.

Lecz skutki takiego stanu rzeczy nie długo na się czekać dają, jak dowodzi tego historya przemysłu Anglii. Zwyrodnienie fizyczne i moralne klas pracujących zaczyna grozić upadkiem podstaw państwa całego i w imię bezpieczeństwa państwa, czynniki rządzące myśleć zaczynają o ochronie

klas robotniczych przed zbytnim wyzyskiem, zanim jeszcze te ostatnie w świadomej i celowej organizacyi poczną same domagać się reform społeczno-politycznych.

W miarę zaś, jak świadomość i organizacya klas pracujących wzrastają, a napór ich na sfery rządzące staje się większy, ochrona robotnicza coraz znaczniejszą odgrywać zaczyna rolę w „pozycyach“ i przedłożeniach czynników rządowych i parlamentarnych, a nawet staje się przedmiotem obrad, konferencyj i kongresów międzynarodowych.

Ponieważ najjaskrawsze i najfatalniejsze są następstwa wyzysku pracy kobiet i dzieci, to też pierwsze ustawy ochrony robotniczej we wszystkich państwach kapitalistycznych tyczyły się głównie i przedewszystkiem uregulowania pracy kobiet i dzieci.

W niniejszym artykule ograniczymy się tylko do rezultatów, jakie osiągnęły we wszystkich państwach usiłowania uregulowania względnie zniesienia pracy nocnej kobiet, specyalne niebezpieczeństwa i wyzysk za sobą pociągającej, które to usiłowania zresztą ściśle wiążą się z ustanowieniem normalnego maksymalnego dnia roboczego dla kobiet, mimo ochrony prawnej wszędzie prawie dłuższego niż robotników męskich.

W r. 1857 wprowadzono w Anglii po licznych próbach 10-godzinny dzień roboczy dla robotnic w fabrykach tkackich, który wraz z przerwami miał trwać od 6 godziny rano do 6 wieczorem. Ustawa ta określa też, co nazywać należy nocą dla robotnic fabrycznych. Jestto czas od $^1/_2$9 wieczorem do $^1/_2$6 rano. W czasie tym od 6 – $^1/_2$9 wieczorem dozwolona jest, z małymi wyjątkami, tylko jedna godzina dodatkowej pracy od 6 – 7.

Tak więc zakaz pracy nocnej wiąże się technicznie z maksymalnym dniem roboczym i ustawowem uregulowaniem dodatkowych godzin pracy.

W roku 1877 Szwajcarya wprowadza ustawę, zakazującą pracy nocnej kobiet we wszystkich dziedzinach pracy zarobkowej bez wyjątku, w r. 1885 zaś na drogę ustawodawstwa ochronno-robotniczego wstępuje Austrya, choć skromną tylko ustawą zakazu pracy nocnej kobiet tylko w fabrykach.

Po przeprowadzeniu powyższych ustaw w Szwajcaryi i w Austryi, rozpoczyna się w Szwajcaryi ruch za międzynarodową ochroną robotniczą. Inicyatorowie ruchu tego wychodzą z doświadczenia, iż każde państwo powołuje się na sąsiadów swych, usprawiedliwiając opieszałość swoją w polityce społecznej tem, że jak długo ochrona robotnicza w innych krajach nie będzie zaprowadzoną, trudno by mu było konkurować z niemi na polu produkcyi i handlu.

Pierwsze kongresy międzynarodowej ochrony robotniczej w Wiedniu (1837) i w Berlinie (1890) podnoszą też konieczność ograniczenia czasu pracy dla kobiet i zupełnego zniesienia, względnie zakazu pracy nocnej we wszystkich państwach tak ze względów hygienicznych jak i moralnych.

Nie wszystkie jednak państwa, reprezentowane na owych kongresach, godzą się na ten tak skromny i więcej niż słuszny postulat. Głosują za nim Anglia, Niemcy, Austrya (Przedlitawia), Niederlandy, Szwecya i Szwajcarya, przeciw niemu Węgry, Belgia, Hiszpania. Włochy i Portugalia, a Dania, Francya i Norwegia wstrzymały się od głosowania.

Od tego czasu jednak Włochy zaprowadziły już ustawę (obowiązującą dopiero od r. 1807) a Szwecya mimo, że za nią głosowała nie zaprowadziła jej. W latach 1897 i 1900 odbyły się jeszcze kongresy międzynarodowej ochrony robotniczej w Zurychu i w Paryżu. Na obu tych kongresach wciąż pokutowały jeszcze życzenia i postulaty zniesienia nocnej pracy kobiet, niezałatwione jeszcze dotychczas mimo wzmożonego przecież w ciągu pół wieku zrozumienia sfer rządzących dla znaczenia ustaw ochrono-robotniczych nietylko dla dobra klas pracujących ale dla rozwoju przemysłu samego.

Na kongresie paryzkim utworzył się Międzynarodowy związek dla ustawowej ochrony robotniczej, który na pierwszem zgromadzeniu delegatów swych z r. 1801 w Bazylei poruczył Międzynarodowemu urzędowi pracy zbadania sprawy pracy nocnej kobiet wpływu, tejże w przemyśle rozmaitych krajów, oraz skutku jaki wyraziło zniesienie lub ograniczenie praca nocnej, tam gdzie ustawy takie zostały wprowadzone.

Polecenie to spełnił urząd robotniczy (internationales Arbeitsamt) rozesłaniem kwestyonaryusza do wszystkich państw, które też wypełniły go, mniej lub więcej ściśle odpowiadając na pytanie tam czynione.

Z odpowiedzi tych, *) które rozstrząsano na drugiem walnem zgromadzeniu Międzynarodowego związku dla chrony robotniczej, wypływa, że wszędzie tam gdzie ustawowy zakaz nocnej pracy dla kobiet został przeprowadzony, wpływ jego był dodatni „dla przemysłu wogóle a dla przedsiębiorców i robotników w szczególności". Dlatego też komitet polecił ogólnej komisyi szukanie dróg, na których by osiągnąć można przeprowadzenie podobnych ustaw we wszystkich państwach, oraz usunięcie w tych państwach, gdzie ustawa taka już istnieje wszystkich wyjątków, dziurawiących ją okropnie w interesie pracodawców, czyniących ją prawie zupełnie ilozoryczną.

Wielkie różnice w rozciągłości i stosowaniu ustawy tej w jednych krajach, a brak takowej zupełny w innych, nie dowodzi bynajmniej niemożności zupełnego przeprowadzenia zakazu nocnej pracy — istnieje on bowiem w Szwajcaryi, — lesz przeciwnie fakt, że w jednym kraju czyni się wyjątek dla fabryki cukru n. p., którego nie czyni się w innych krajach, a w drugim znowu dla innej gałęzi przemysłu, która znów w ustawoda-

*) Gewerbliche Nachtarbeit der Frauen Jene 1903.

wstwie sąsiadów nie cieszy się podobnym przywilejem, dowodzi, że zakaz pracy nocnej wogóle dałby się i da się przeprowadzić dla wszystkich gałęzi przemysłu oraz że da się rozciągnąć tam, gdzie obejmuje tylko fabryki, także na warstaty, handel i t. p. pola pracy zarobkowej... Tylko, że kongresy same, choćby najbardziej humanitarnie czujących dobroczyńców ludzkości nie rozwiążą kwestyi. Urzędy i parlamenty ustąpią jedynie pod naporem organizacyi robotniczych, mających w tychże parlamentach swoich przedstawicieli. *Dr. S. Perlmutter.*

KRONIKA.

Z Krakowskiej czytelni dla kobiet. Zawiązana przy czytelni sekcya dla obrony praw kobiety, ukonstytuowała się na posiedzeniu z dnia 16 b. m., wybierając na przewodniczącą Kazimierę Bujwidową, na sekretarkę p. Szumowską i na skarbniczkę p. Rotterówną. Program działalności sekcyi omawianym i dyskutowanym był na dwóch posiedzeniach i przyjęto następujące zasadnicze punkty.

Uważając że wszelki ucisk, a zątem i ucisk kobiet i wszelkie krzywdy moralne, wynikają stąd, że dzisiejszy ustrój społeczny w początkach swych oparty był na sile pięści i do dziś dnia cechy takie nosi, zwalczać winny kobiety przemoc we wszelkich jej przejawach i stawać w obronie uciśnionych t. j. tych z którymi dzielą wspólną dolę.

W myśl słów powyższych dążyć winny kobiety do zapewnienia równych praw moralnych obywatelskich i politycznych dla wszystkich ludzi bez różnicy płci, wyznania, narodowości, do zwalczania ucisku prawno państwowego, ograniczającego swobodę człowieka w imię powagi ustawy (wolność słowa, prasy, zgromadzeń i t. d.), do zwalczania siły brutalnej we wszelkich jej objawach zarówno w militaryzmie jak i innych środkach używanych przez władze państwowe lub partye polityczne. Więc w obronie słabych uciśnionych kobiety walczyć powinny przedewszystkiem o prawa dziecka jako istoty słabej, niesamodzielnej i nieodpowiedzialnej za sam fakt i warunki swego istnienia. A więc domagać się musimy zrównania dzieci nieprawych z prawymi, dziewcząt z chłopcami, bogatych z biednymi, musimy walczyć o zapewnienie wszystkim dzieciom środków utrzymania i wychowania moralnego i umysłowego, wychodząc z zasady, że dziecko ma prawo żądać od społeczeństwa wszystkiego, co mu do rozwoju potrzebne.

Dążyć będziemy do zmiany formy dzisiejszego małżeństwa, które wkładając obowiązek utrzymania kobiety i dziecka na mężczyznę — oddaje tem samem kobietę i dziecko od tego mężczyzny w zależność. Kobietę z wyjątkiem okresu macierzyństwa, uważamy za jednostkę równie obowiązaną do pracy zarobkowej jak mężczyznę, o wyborze swej pracy powinno być wszakże wolno decydować kobiecie. Dla tego dążyć będziemy do reformy dzisiejszego gospodarstwa domowego, które tej wolności wyboru dzisiejszą kobietę pozbawia, albo też powoduje przeciążenie pracą wkładając na barki kobiety podwójny ciężar pracy o ile się kobieta oprócz gospodarskiej jeszcze i pozadomowej pracy zarobkowej poświęcać musi. Akcyę naszą zwracać będziemy przedewszstkięm do kobiet oraz do młodzieży i dzieci (jako przedstawicieli przyszłości). Akcya nasza dotychyć będzie wszystkich, bez różnicy klas.

Jako środki do prowadzenia powyższego programu działalności w życie przyjęto punkta następujące

I Wychowanie szeroko pojęte, a więc wychowanie dziecka, kobiety, mężczyzny i społeczeństwa

a) przez zakładanie (ewentualne założenie) szkoły opartej na zasadach nowoczesnej pedagogyi, dostosowanej do nowoczesnych warunków życiowych,
b) domaganie się reform w obecnie przyjętych systematach wychowawczych,
c) zakładanie czytelń, wypożyczalni z odpowiednią literaturą i prasą,
d) wydawanie, popieranie i rozszerzanie pism, broszur, wydawnict, odezw i petycyj w zakres programu wchodzących,
e) urządzanie wieców, kongresów, zgromadzeń, konferencyj, słowem oddziaływanie wszelkimi sposobami na opinię publiczną,

II Staranie się wszelkiemi sposobami o zdobycie dla wszystkich a więc i dla kobiet praw politycznych i obywatelskich.

III Zdobycie dla kobiety równouprawnienia w pracy i organizowanie w tym celu kobiet pracujących — dążenie do ogólnej poprawy warunków ekonomicznych przez popieranie wszelkich organizacyj mężkich czy mięszanych do poprawy takiej zdążających.

IV Ochrona macierzyństwa

a) przez wywołanie ustawy zabezpieczającej kobietę materyalnie przez państwo lub społeczeństwo na czas niezdolności do pracy w okresie macierzyństwa (ostatnie miesiące ciąży i okres karmienia),
b) przez zakładanie przytułków dla położenic,
c) zakładanie kas pomocy dla kobiet ciężarnych i matek karmiących,
d) tworzenie zakładów wychowawczych dla niemowląt.

V Ochrona prawna kobiety, przez reformę ustaw dotyczących prawa majątkowego i małżeńskiego, prawa wykonywania opieki nad dziećmi, zniesienie różnic prawnych między prawemia i nieprawemi dziećmi, organizowanie biur porady prawnej dla kobiet pokrzywdzonych.

VI Walka z prostytucyą i handlem kobietami

a) przez odpowiednie wychowanie społeczeństwa i wyrabianie opinii publicznej,
b) przez wywołanie odpowiedniej reformy ustawodawstwa (zniesienie legalizowanej prostytucyi, regestrowania prostytutek, jednostronnej rewizyi sanitarnej, godziny policyjnej i t. d.),
c) zakładanie biur informacyjnych i organizowanie opieki dla dziewcząt samotnych,
d) otaczanie opieką kobiet wykolejonych celem umożliwienia im powrotu do normalnego życia.

VI Zakładanie wspólnych gospodarstw (kuchnie, pralnie) na zasadach współdzielczych opartych celem dostarczenie tańszego i hygieniczniejszego utrzymania oraz wyzwolenia kobiety od przymusowo ciążącego na niej obowiązku zajęcia się gospodarstwem domowem.

VIII Zbieranie materyałów statystycznych i urządzanie ankiet.

IX Śledzenie ogólnego ruchu kobiecego i społecznego oraz odwrotnie informowanie ogółu o ruchu miejscowym drogą korespondencyj, kongresów międzynarodowych itp.

Sekcya dla obrony praw kobiety przyjęła za zasadę, że do grona swego przyjmować będzie tylko te kobiety, które zasady ogólne powyżej zakreślony program działania i środki przeprowadzenia uznają za odpowiedni. Niema to

znaczyć, żeby członkowie sekcyi musieli mieć jednakie zapatrywania odnośnie do różnych szczegółow, powinni jednakże godzić się na zasadnicze punkty programu bez czego skuteczne współpracownictwo byłoby wykluczonem.

Dla tego też sekcya uznała również za potrzebne podkreślenie konieczności solidarnego występowania na zewnątrz.

Ogłaszając program niniejszy sekcya wzywa wszystkich tych, w których sercu i umysłach program ów znalazł oddźwięk by się na członków zgłaszać zechcieli. Informacyj bliższych udzieli przewodnicząca sekcyi:

Kazimiera Bujwidowa, Kraków, Kolejowa 3.

A. BELTRAMELLI: DZWONY.

(PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO).

Pirignili, człek zwyczajów prostych, żył przez jakiś czas w Romanii zostawił miłą pamięć po sobie.

Od wczesnej młodości był wędrownym pasterzem; gdy zaś potem dusza jego znużona włóczeniem się z wysokich gór na białe wybrzeża mórz spostrzegła, że za marzeniem iść nie sposób i, że na jedno wyjdzie, jeżeli spokojnie człek siędzie i czekać będzie na to, co losy nadarzą, wówczas porzucił dawne rzemiosło i jął się nowego.

Pirignili od dawien dawna miał wielkie zamiłowanie do dzwonów. Na obszarze jego uczuć i wrażeń, głosy, które wychodziły z wysokich wieżyc, kładły niejasne wizye złota i zielonych wód i zórz przecudnych na horyzontach zawojowanych przez orły i sępy, dlatego też, ilekroć przechodził koło jakieś kapliczki przystawał i przyglądał się milczącym paszczom bronzowym niby żywym.

Wierzył w Boga, jak wierzy się w słońce.

Od najwcześniejszych lat mówiono mu zawsze: Tam w górze, nad gwiazdami, jest człowiek większy od nas wszystkich; człowiek, który nie zna nad sobą pana i żyje zawsze, jak wieczność. Może ci uciechy przysporzyć i może życie ci odebrać. Módl się do niego: nazywa się Pan Bóg.

I Pirignili myślał, że Pana niebios dochodzą z ziemi głosy jeno najwyższe: głosy grzmotów i dzwonów.

Z biegiem lat wierzenie to nie znikło, owszem wzmocniło się i zawiodło go do logicznego wniosku, że ludzie, którzy innego nie mają zajęcia chyba koło dzwonów, muszą koniecznie być ludźmi wybranymi i miłymi w oczach Pana.

I tak wędrowny pasterz porzucił błąkanie się i w trzydziestym roku życia dostąpił godności dzwonniczego.

Był wówczas długi jak młody cyprys i tak chudy, że zdawało się, jakby ciało jego za najlżejszem wstrząśnieniem miało się rozpaść; twarz

koścista, żółtawa, nie miała ani jednej linii przyjemnej; jedyną wielką duszę tej potwornej brzydoty były niezwykle czarne oczy, w których jakby opóźnione błąkały się cienie zmierzchów i zdumienie dusz dziecięcych.

Od owego czasu Pirignili był człowiekiem najbardziej milczącym z pośród wszystkich naokół; a milczenie jego pochodziło i nieco z obawy przed bliźnimi i nieco ze zwyczaju nabytego w samotności. Na wszystkie pytania, które mu zadawano, odpowiadał krótkiemi słówkami, a częściej potrząsał głową przytakująco lub przecząco stosownie do okoliczności. Ani zawierał przyjaźni z nikim, nie baczył na małostki, któremi karmi się powszechne umysłowe włóczęgostwo, a jeno wszystką swoją pokorę i bogobojność oddał na usługi Don Alberta, a to dlatego, że ów był sługą Bożym i, że dał mu jęczące dzwony do strzeżenia.

Dla tego postępowania nie zwracał na się uwagi ludzi i nie znał zasadzek sinej zawiści. Baczono nań tyle, co na jakowąś bestyę nieużyteczną, a niewiasty się zeń śmiały. Wyśmiewały go, ponieważ był brzydki i niezgrabny i ponieważ zdawało się, jakby wcale nie patrzył za niemi, gdy mijały go strojne w różowe szaty; mieniły się pod skwarnem słońcem, rzucając w przestwory gorące dreszcze rozkoszy.

A ponieważ niczego nie żądał, więc nie wiedział wcale, w jakiej go miano pogardzie. Żył ciągle z drzewami i z bydłem, z istotami, które nie udzielają się, więc nigdy nikogo nie sądził ani też nie przypuszczał, iżby ktoś jego miał osądzić.

I tak odpoczywał w swojem gnieździe, a wysokie topole tworzyły mu olbrzymią koronę na równinie. W górze w ostatniej izdebce, w której znajdowały się zapylone przyrządy do poruszania dzwonów i belkowania, stał przez znaczną część dnia i nocy, zagnieżdżony niby puhacz i czekał na zorzę, żeby wysłać domostwom rozsianym po kraju czujne głosy spiżowych sióstr.

Tam z góry widział, jak wielka rzeka wije się po urwistem korycie i znika wśród cienia drzew, jak wygląda z poza wiklin, rozciąga się niby nić srebrna na krańcach równiny pod ciemną masą starej Pinety; widział jak białe i czerwone domki wyrastały gęsto z ziemi jakby ule; wiązy nanizane w nieskończony szereg i opasane winną latoroślą, zesztywniałe w świętym rytmie innych czasów, drobne gaje i strumyki, ulice odbrzmiewające stąpaniem sabotów, aleje topolowe, wieże dalekich miast i radosny cud pagórków, w których niebo jakby rozpoczynało swą drogę ku wzniosłemu sklepowi lazurów.

Prostemu jego sercu wszystko to zdało się bogactwem tak obfitem, że jeno patrzył i milczał. Na zawsze spoił się z tajemnem życiem wielkich rzeczy, albowiem ani razu słońce nie wstało, iżby on o tem ziemi znać nie dawał; ani razu burza nie zawisła groźnie nad dziełem ludzi w po-

lach, iżby on nie wstrząsał dzwonami dla przebłagania Pana, tam w górze wśród żwawego igrania wiatru, pod czarnem i krwawem rojowiskiem skłębionych chmur stał sam wysoko ponad drzewami nawet, że piorun mógł wypaść nań z ciemnych niebios niby bicz boży. A nadto znał wszystkie przemiany księżyca i znał słodycz światła o zachodzie i świcie.

Dzwony jego śpiewały, falowały, jęczały, albo ponurym szybkim szlochem dawały znać o odejściu jakiejś duszy nieznanej, jakby chciały przewodzić jej na drodze ku gwiazdom wołaniem łagodnem lub boskiem zachwyceniem. Spojone, rozdzielone, w zespole dźwięków drgających, w szczebiocie głosów dziecięcych, w świergocie często jakby wróbli kłótliwych pod dachem gospody; kroczyły, podskakiwały raz łagodne jak pieszczota, raz powiewne jak westchnienie, raz zuchwale niespodzianym polotem kruszcu, raz błagalne wśród cichych zmierzchów i zamykały w kręgu swoich dźwięków wszelkie uczucia, które migiem obiegają ziemię, morze i niebiosa.

One były pierwsze i były ostatnie, dalekie od wszelkich głosów ludzkich; były wieczyste w swojem gnieździe wysokiem, spiżowe siostrzyce wiatrów.

A Pirignili znał ich tajemnice i kochał je jak istoty ludzkie. Było ich cztery: pierwszy wołał na ogień, drugi śpiewał ziemi, trzeci niebu i wodom, a czwarty milczał. Mówił Pirignili, że ten czwarty czekał długo przeznaczenia i przeznaczenie się spełniło.

Poza kościółkiem, tuż nad rzeką, która wijąc się ginęła wśród drzew i zarośli, wznosiło się różowe domostwo: Ca' Vurlana. Było tak bliskie wód, aż się w nich wyraźnie zwierciedliło. Do pnia na brzegu przywiązane były łańcuchami dwie łodzie.

Mieszkał w tem domostwie rybak Svidar d'Vurlán i mieszkali jego synowie, Arvéna i Luis, sprawni w robocie, mocni i płomienni; i śpiewała tam Fiora, cud leśnej piękności, umiłowana nad wszystko przez ojca i braci. Włosy miała złote i była jako słońce majowe i nie było rzeczy na świecie, coby ją czarem, wdziękiem i słodyczą, pokonać mogła. Był w niej uśmiech zórz nieskończonych, jaśnienie klejnotów, spokojność sadzawek, poryw płomienia; była ognista i spokojna, gwałtowna i łagodna, a w tajemnym skarbcu kryły się wszelkie uczucia: łagodne i surowe. Białością podobną była do alabastru Fiora d'Vurlán, a każde słowo uwielbienia kładło się na niej niby naturalna korona.

Otóż Pirignili widywał ją czasami z wysokiego gniazda, albowiem domek stał niedaleko od kościółka, a Fióra śmiechem i okrzykami — wtórzyła dźwiękom dzwonów. Z początku patrzył na nią bez troski, potem z ciekawością, a wreszcie jął dziwić się w sercu słodyczy, której doznawał. I zmiarkował, że prócz przestworu i słońca inne są rzeczy bliższe.

I tak z dnia na dzień potwornie brzydki ten człowiek znajdował na swej drodze nowe ślady i jął iść za nimi posłusznie i pokornie, nie bacząc i nie myśląc, dokąd go zawiodą. Cóż wiedzieć mógł o tem Pirignili, nietknięty szczyt śnieżny? Miłość była mu słowem nieznanem; nigdy ust nie otworzył dla pocałunku ani dłoni dla pieszczoty; nigdy uchem nie usłyszał szeptu kobiety rozkosznego; był jako drzewo samotne, co daremnie gałęzie wyciąga do dalekich braci.

Minęło lato i nadeszła jesień, co winne zaczerwienia latorośle.

Pirignili nigdy nie przemówił do Fióry ani słówka, ani nawet, żeby dzień dobry. Bojaźń u niego przechodziła niemal w strach, ilekroć ją spotykał, albowiem wówczas uczuwał w piersi rwiący potok krwi, a wszelka myśl ginęła w dalekościach. Czasami patrzyła nań z uśmiechem, świadoma może swej potęgi i władzy nad duszą prostą, a Pirignili stawał nieruchomo z twarzą skrzywioną.

Pewnego dnia na łące kościelnej Fióra ozwała się doń czystym swym głosem:

— Cierpicie, Pirignili?

A on nie miał nawet tyle siły, żeby odrzec: Tak!

Było to piekło, męka większa nad wszystkie męki, udręka ciągła, której poddawał się spokojnie swoim zwyczajem i cieszył się jeno, że może ją widzieć, słyszeć i o niej myśleć na swój sposób milczący pełen uwielbienia. Temsamem uwielbieniem obejmował gwiazdy, słońce, cień Pana na rozległych niebiosach.

Atoli kobieta, to nie to, co rzeczy wiekuiste, a Pirignili źle postąpił, że ją przydał niby nowy żywioł, do tych nielicznych żywiołów, które stanowiły jego pojęcie świata. W cichą pogodność wniósł ten krótki poszum, co mąci i gorzkie bardzo zebrał po nim owoce.

Pewnej nocy, pod koniec września, kiedy jesień łagodnie obiera z szat lato, Pirignili uniósł się z łoża i zeszedł na brzeg wielkiej, szumiącej rzeki.

Księżyc wschodził o cielsku żelaznem a duszy miękkiej, wyglądał z poza gałęzi, wzniósł się ponad korony topolowe, ślizgał się wśród wązkich pasemek chmur, znikał, znowu się zjawiał wśród gwiazd, w niemym kręgu godzin nocnych, co sen przywodzą i lęk. Pirignili patrzył oczyma zdumionemi. Cóż to miał uczynić? Żądło osy mu utkwiło we krwi; pierwszy to raz może w życiu poczuł się zuchwałym; łagodne powietrze młodej jesieni upajało go do zawrotu. Zapuścił się w gąszcz wiklin, przerwał rechot sejmujących żab i stanął nagle, albowiem ujrzał Ca'Vurlana.

Światło księżyca osrebrzyło ziemię i liście drzew przed domkiem, przy drzwiach leżał kłębek brunatnych sieci, a na wodzie drzemały łodzie przywiązane do pnia.

Nie było nigdzie światła widać, ani słychać głosu, coby dał znać, że ktoś czuwa. Svidar d' Vurlân i jego synowie spali twardo na niskich łożach.

A Pirignili wyobraźnią swoją widział, jak spoczywa piękna Fióra na białej pościeli z rozwianymi włosami, okalającymi twarz uśmiechniętą, widział wargi rozwarte, podobne do dojrzałego granatu, który ludzie jedzą, gdy złota przyjdzie jesień.

Nie jaśniałyż w owym spoczynku słodycze pierwszych świtów i zórz?

Wszystko to: owoce morwy, słodycz jaśminów, wonie sadów, winnic, i białości alabastrowe, jego byłoby własnością, gdyby ona na pokorne wezwanie wstała, nie budząc się, i drzwi mu otworzyła.

I już miał posunąć naprzód, zdumiony swojem zuchwalstwem, gdy oto usłyszał lekki plusk wody; zwrócił bojaźliwe oczy ku rzece i wkrótce dostrzegł łódź, która nadpływała cicho w cieniu zarośli.

Nieznajomy skierował łódź ku Cá Vurlana. Wkrótce też tam dopłynął, przystanął i wysłał w przestworza lekki świst.

Pirignili stał niemy i czekał. Nagle ujrzał, jak drzwi otwierają się tak cicho, że skrzypu dosłyszeć nie było można; zjawiła się głowa Fiory i głos jej zabrzmiał:

– To ty? Żuli?

– Fiora! – odrzekł młodzieniec. I nic więcej słychać nie było. Cień chybki nieznajomego mignął po srebrze księżyca i znikł za furtką, która się przywarła.

Pirignili działał od owej chwili pod panowaniem wzburzenia; wpadł na rozkołysany okręt zazdrości; działał jak biedak, który na zawsze nadzieję utracił.

Wyszedłszy z kryjówki, jął gorączkowo zbierać belki i wielkie kamienie i zatarasował niemi drzwi, z których mogli wydostać się kochankowie; potem uciekł.

Gnała go wściekłość, podjudzał ból. Pognał do swego gniazda, wstrząsnął dzwonem, który wołał na ogień i uwiesiwszy się u liny, jął dzwonić z desperacyą wśród nocy.

Odpowiedziały wkrótce sąsiednie dzwonnice. Nie długo, a zdawało się, jakby krąg drgań złowieszczych zamknął wielkim uściskiem rozległe pola. Nadbiegali pędem wieśniacy, dźwigając konwie, kotły, długie gałęzie i drabiny.

Utworzył się tłum nawołujący i wystraszony.

Z wysokości Pirignili ciągle w noc wysyłał wściekłą i groźną muzykę i ciągle patrzył na Cá Vurlana, żeby dojrzeć, co się stanie.

Lecz nie nastało nijakie zamięszanie; Fiora pewnie słodką piła rozkosz. I jakżeż mogło być inaczej, skoro mężczyzn w domu nie było?

Tymczasem wycia tłumu rosły.

— Pirignili, gdzie ogień?

— Gdzie, żmijo ogień, ogień?

A on nie odpowiadał, czuł jeno wielkie zmęczenie i litość nad sobą samym czułą, że mu sił wkrótce, zabrakło i że padł znękany na belkowanie.

Tak leżał nieprzytomny, aż wreszcie doszedł go odgłos szybkiego kroku, zbliżającego się po schodach. Potem dwóch, trzech. Wiele ludu skupiło się nad nim; twarze rozognione, głosy ochrypłe.

— Gdzie ogień? Mów!

— Chciałeś nam piosnkę zaśpiewać?

On milczał upokorzony, i pochylił głowę, nie słuchając; nie wiele mu to jednak pomogło, albowiem ujęto go i zwleczono na dół po schodach, oddano na pastwę tłumowi, który się nim radował wśród wycia i głośnych śmiechów.

Jakiś starszy rzekł im coś a oni przytaknęli okrzykiem.

— Tak! — wołał srogi i okrutny głos tłumu — tak!

Przywiązano go do drzewa, a nieszczęsny rozkochany tylą wody został skropiony, że możnaby dziesięć pożarów ugasić.

Lecz wówczas lekarstwo to nie zdało się na nic, nieco później tak, skoro, opowiadając o swoich dzwonach, zwykł był mówić:

— Pierwszy woła na ogień; drugi śpiewa ziemi; trzeci niebu i wodom!

A gdy jakiś nierozważny człek zapytał:

A czwarty?

— Czwarty, spełnił przeznaczenie! — odpowiadał, brwi marszcząc. — Wyrzekł o miłości i powiedział głupstwo!

I jak długo żył Pirignili czwarty dzwon był niemy.



GUSTAW PORĘBSKI: KOŚCIÓŁ N. P. MARYI.

O podsłuchana duszą
rozmowo bliźnich wież,
gdy nocną płyniesz głuszą
w niewolę serca bierz:

„— oczy gniewem goreją
srodześ dzisia swarliwy, —
przestań — gdy ja szczęśliwy
ciesz się nadzieją!
O patrz! złota od słońca
wieża w niebo goniąca
mojegoż tryumf dzieła!
Ty — co ci myśl poczęła,
prowadź do końca.

Bracie — nie sięgaj dłoni —
tobiem ja dziś żałosny,
żem jest wieży zazdrosny
co w niebo goni;
ani mnie już kłopoce,
że mam dziatki sieroce,
że na barłogu żona
śmiercią głodową skona
bez mej pomoce...

Bracie — łatwa mi rada,
jeśli się żalisz nędzy
jam nie chciwy pieniędzy
próżna to zwada.

W sercu mieszka wesele
sercem z tobą się dzielę; —
gdy mi złota nie szkoda
bierz — czerwieńce jak woda —
nie pytam wiele.

Dzieło twoje mnie zguba!
Sen mi z oczu wygania
świat szeroki przesłania
to twoja chluba!
Niechże obu noc schłonie,
w katowskie idę dłonie!
Serca daj mi nie złota
k' sercu prze mnie ochota,
że nóż w niem tonie!

Ach — ja ginę nietrwożny,
bo umieram niecale,
w pośmiertnej wstanę chwale
z tobą — bezbożny!
Oba my nieśmiertelni
oba — gdy ja mistrz kielni,
zasłyniesz mistrzem noża,
klątwa cię sięgnie boża
unieśmiertelni!“

O podsłuchana duszą
rozmowo bliźnich wież,
gdy nocną płyniesz głuszą
grozę w umysłach szerz.

Kraków w grudniu 1903.

GUSTAW PORĘBSKI: SONET.

Sępowi Szarzyńskiemu.

I nie umierać ciężko i umierać
Przykrym się staje nieraz byt służalczy
Gdy złuda kształt swój odsłoni padalczy
Że trudno oko w oko jej spozierać.

Więc rozpacz duszę zaczyna pożerać
Popęd ku życiu tłumiąc bałwochwalczy
A uciążliwie chęć z niechęcią walczy
Gdy te dwie moce rozpoczną się ścierać.

Aż śmierć, co wiecznie czai się do skoku
Z paszczy ziejącej grobu chłodem zionie
A życie w zdradnym pysząc się uroku

Blaskiem wabiącym znów otoczy skronie:
Wówczas nie pomni człek o dawnej męce
W nowe kajdany daje pętać ręce.

NOTATKI TEATRALNE.

Wystawiono 12 grudnia dramat Ibsena p. z. „Jan Gabryel Borkman“. Ogarnia ochota zatytułowania tego utworu staromodnem nieco i spłowiałem nazwaniem: opłakany zgon Jana Gabryela Borkmana opowiedziany w czterech rozdziałach lub pięciu. Albowiem to raczej powieść; można dodać: bardzo dobra. Pominięto tu wszystko, co jest opisem, a co może czasem okazać się niedokładnem widzeniem. Dano zaś rozmowy, które można słyszeć, a w których osoby same przedstawiają się bez ogródek. Odrzucono nadto początkowe rozdziały, ponieważ niema dla nich miejsca na scenie. Tytuł zaś Ibsena jest szeroki, zmieści się w nim niejedna może zgrzyźliwa uwaga, obo niego kropki lub wykrzyknik. Ze względu na dźwięk brzmi rozlegle, tajemniczo, a pusto. Ibsen bowiem — tak bowiem można sobie roić — poszedł za myślą Borkmana i związał z jego osobą tyle wagi, ponieważ Borkman sam tyle znaczenia przypisuje sobie. Raczej to bowiem dramat Gunhildy (żony Borkmana), w którym Borkman jest epizodem, albo punktem wyjścia. I tem można wytłumaczyć, że to niejako ciąg dalszy. Z Gunhildą w roli tytułowej dramat rozpoczyna się istotnie tam, gdzie się rozpoczyna. Upadek Borkmana stworzył Gunhildzie zadanie. A tak, to powieść, w której wiele rozmów dramatycznych, powieść przykrojona do potrzeb teatru. Lecz to może być mylny punkt widzenia. — Określano ten Ibsenów utwór często jako „tragedyę wyniosłej, twórczej duszy ludzkiej“, niewiadomo jednak, gdzie ona,

ta dusza twórcza. Ibsen o tem nie wspomina, a dramat jego jest źródłem najlepszem. Z napomknień rozproszonych po dyalogach, z niektórych ozwań się Borkmana wnosić można, że to człowiek był pchnięty przez opinię otoczenia na obce sobie tory, na których teraz pragnie się utrzymać, lecz się źle do tego zabiera. Tragedya, być może: lecz w tem znaczeniu, że tu człowiek wyrabia sobie mylne o swej mocy przekonanie i w tym też działa kierunku. Uwierzył opinii. Jestto więc tragedya przywidzenia i pragnienia, które wślad za niem idzie, spełnienia innych, nie własnych przeznaczeń. Inaczej dramat skończyłby się na tem, na czem się zaczyna. Jest właściwością takich przywidzeń i mniemań, że nie znikają nigdy, że owszem wytwarzają naokół atmosferę legendarną, ponieważ ludzie, którzy je mają, zabierają je z sobą do grobu, umierają, zostawiając po sobie wątpliwości: „gdyby nie..." Melancholia spraw, które nie doszły! Złudzenie to, nieprawdaż, albowiem niema spraw, któreby przeznaczeń nie wypełniły.

Powszechnie utrzymują, że bohater, rozbiwszy się o zaporę nieznaną i nieprzebytą, ginie. Ibsen powiada, że nie, a przynajmniej: nie zawsze; zwłaszcza: nie teraz; i nie w tym wypadku, w „Borkmanie". Żyje ot nadal i na pierwszem piętrze chodzi dużym krokiem, że dudnienie rozlega się po opustoszałem domostwie, i rozmyśla. Kilka czy lat kilkanaście. (Uważa bowiem, iż nie zmieniło się nic, że jest tymsamym, co dawniej, bohaterem). Oto poetyczne wyobrażenie o bohaterze wywrócone zupełnie. Lecz wniosek to zbyt nagły. — Czem odznacza się taki bohater, który śmierć swoją przeżył? Niczem. Pamięta, tłumaczy, wyjaśnia, układa przeszłe zdarzenia. Niema zaś teraz zdarzeń, w którychby moc swoją lub niemoc okazać: tak czy owak. A niema, ponieważ zdarzenia nie chodzą po świecie same; trzeba je przyciągnąć za... Za co, niewiadomo, ponieważ są to istoty nieuchwytne; zdarzenia. — Tragedya mniemania może odbyć się bez zdarzeń, powiada Ibsen, nie drgnąwszy, wśród zdarzeń bowiem mniemanie szybko rozwieje się i ... niema tragedyi. Dlatego dramat zaczyna się tam, gdzie się zaczyna.

Oto więc opłakane dzieje życia i zgonu człowieka, który co do niczego nie myli się niemal, chyba co do siebie samego. Myli się stale i ciągle. Rzucił się był kiedyś na wielkie przedsiębiorstwo fabryczne, potknął się (zabrał nie swoje pieniądze z banku, a miał je zwrócić z olbrzymich zysków przyszłych, pewnych) i dostał do więzienia. Odzyskawszy wolność, wrócił do domu i począł wieść żywot samotny i nieczynny. W tymsamym domu mieszka i jego żona, która znienawidziła męża i poświęciła życie wychowaniu syna. Syn ma zmazać hańbę, którą okryło się imię ojca. Lecz syn jest ilością nieobliczalną i wymyka się z pod rządów matki. Poddaje się rządom pani Wilton, która żadnych zadań mu nie wymyśla. Wszyscy tu zresztą budują na rzeczach nienieobliczalnych, nie na sobie samych, dlatego może nie mają racyi. Do tego samego domu przybywa i siostra Gunhildy, Ella, która kochała Borkmana, którą Borkman kochał i porzucił. — Jak więc powiedziano, Borkman myli się ciągle, chociaż widzi dobrze i wyraźnie wszystko, prócz siebie. Zachodzi do niego wieczorami dawny przyjaciel, Foldal, poeta. Jest urzędnikiem w ministerstwie i nosi okulary na czole. Nogi ma chude i cienkie i tekę z rękopisem dramatu dźwiga pod pachą zawsze. Ma także córkę, która grywa Borkmanowi na fortepianie tańce szkieletów i inne ponure kompozycye. Wieczorami więc toczą się rozmowy długie, ważne i poważne. O rzechach, które minęły na zawsze, a idzie jeno o stanowcze zdanie i ostateczne, jak gdyby to zdanie mogło mieć wpływ na tok spraw jakikolwiek. W drugim akcie toczy się dyalog

bardzo zajmujący. Mówi Borkman i mówi Foldal, ludzie, zda się, niezachwiani w sobie. Nie wierzą w siebie wzajem; jeden nie wierzy w moc drugiego, ale tego nie mówi, ani jeden ani drugi. W siebie wierzą, tak przynajmniej wyobrażają sobie, a właściwie każdy z nich wierzy w mniemanie drugiego, ponieważ mu potrzebne. Ludzie niezachwiani, to tacy, w których ...wszyscy wierzą. W takiej rozmowie, w której ludzie okłamują się wzajem, musi paść słowo nieprzewidziane. Stosunek pęka, a właściwie nie zmienia się nic: stosunek jest tensam, ale teraz obaj go widzą całkowicie. Dotychczas każdy na własną widział go rękę i głowę. Teraz każdy widzi cały stosunek. A to sprawy niebezpieczne. Okazuje się, że Foldal nie wierzył w Borkmana. Borkman nie wierzył w Foldala. A tego im było potrzeba, bo na tem mniemaniu, na tej wierze bliźnich oparli swoją moc, swoją wiarę w siebie. — W dyalogu tem padają słowa, których pustkę słyszy Ibsen i słyszy widz lub czytelnik. Borkman umie na pamięć wiele zdań, aforyzmów i gestów, jakimi posługują się ludzi mocni. Używa ich obficie: „Twoja poezya, to mrzonki i bajki,“ „jesteś mi niepotrzebny,“ woła do Foldala. „Trzeba wierzyć w siebie“, „wierzę w siebie“, woła znowu, a widz miarkuje (czyżby nie zmiarkował?), że te wykrzykniki nie mają uzasadnienia, ponieważ brak tu zdarzenia, wobec którego stojąc i którego cząstkę stanowiąc, tak mówić można. Więc w siebie nie wierzy, a zdaje mu się inaczej. Widoczna, że ten człowiek nic nie zrobi. Ta jego pomyłka jest tragiczna. Borkman musiał słyszeć lub czytać, że bohaterowie działali mocą konieczności. Umie więc i on układać zdarzenia pod tym kątem. Myli się jeno co do sposobu stosowania tej konieczności. Wydał Ellę innemu (którym ona zresztą pogardziła), ponieważ „tego wymagała nieubłagana konieczność“. Dlaczego, niewiadomo. Wydał ją, bo wydał. Uzasadnienie takie może jeno okazać, że to właśnie nie było konieczne. Lecz... takie powiedzenie starczy za wszystko. Ella (lub kto inny), słysząc takie słowa, wie już teraz (chociaż ją to boli), że ma do czynienia z człowiekiem wyjątkowym. tak bowiem dzieje się tylko u ludzi wyjątkowych. Borkman i Ella wiele musieli o tem mówić i czytać, za czasów marzeń i rozmarzeń. Ludzi wyjątkowych cechą jest, że... nikt ich nie rozumie. Borkmana też nikt nie chce zrozumieć. Do czego to rozumienie mu potrzebne, niewiadomo. Lecz to właśnie jest owo budowanie na rzeczach nieobliczalnych (nie wiem, czy przyda się na wiele budować na rzeczach... obliczalnych), skutkiem którego nie ma się racyi. Zaczynamy powoli podejrzywać, że sam Borkman nie bardzo poważnie mówi (p. Sosnowski, który rolę Borkmana wygłosił bardzo pięknie, miał czasem skurcze w kątach ust, błyski i drgania koło rozmierzwionych, gęstych, siwych brwi — które mogły naprowadzić na myśl, że Borkman wie dobrze, jako jest niczem), a raczej: Borkman mówi poważnie, atoli to nie jest człowiek poważny.

W tym dramacie poruszają się ludzie, którzy, wszyscy chcą mieć słuszność. Okazuje się, że żaden nie ma słuszności. I ci, którzy kochają dla siebie, samolubnie, i ci, którzy kochają dla innych, niesamolubnie. Ze względu na wynik (o który właśnie idzie, a który się osobom działającym wymyka) to wszystko jedno. Słuszności nie ma się nigdy, gdy sprawy zależą od rzeczy nieobliczalnych. Wszyscy więc popadają w rekryminacye, wyrzuty, formułki własnej goryczy bez celu. (Wszyscy, z wyjątkiem Foldala, który córkę swoją kocha bezinteresownie.) Rozpamiętywania stąd pochodzą właśnie, że nie ma się słuszności. Borkman, Gunhilda, Ella nie mają słuszności, że się tak przy swojem upierają, budują na innych ludziach. A wszyscy ostatecznie upierają

się przy swojem, czy tak kochają czy owak. Czy tak chcą, to inna sprawa, prawdopodobnie nie mogą chcieć inaczej, a robią tak, ponieważ tak wszyscy ludzie robią.

Zdaje mi się — znowu urojenie — że ten utwór Ibsena jest dramatem aktora, który po odegraniu roli swojej tragicznej i po swojej śmierci nieodwołalnej wstaje i idzie do domu. Zakończenia widowisk teatralnych mogą podniecić wyobraźnię i podsunąć jej tajemnicze znaczenia zdarzeń niepokaźnych. Co się dalej stało? oto drugie pytanie. Są to oczywiście sprawy nieprzewidziane. Nic się już nie stało. Lecz można podnieść znienacka kurtynę i pokazać aktora, który na dowód swej mocy przywodzi odegraną rolę bohaterską, Ibsen podniósł kurtynę znienacka. Widok jest istotnie opłakany człowieka, który bezsilnie się szamoce. Zaczyna się szereg dyalogów, które są jakby roztrząsaniem dramatu wystawionego wczoraj, przedwczoraj, przed kilku laty w teatrze. Osoby niepostrzeżenie przyjmują na się rolę odpowiednie. Tylko rozwiązanie jest nieco inne, ponieważ sytuacya tu inna. Borkman nie jest aktorem, afisz teatralny nic o tem nie mówi, ani też spis osób w książce. Atoli żywot dawny. który w rozmowach na jąw wychodzi, rozmyślania nad nim częste, świadczą, że to człowiek, który się zapożyczył. Nie trzeba wnioskować, jakoby to satyra była. Nie; to tylko dramatyczne ujęcie pomyłki, którą stwarza opinia. Nie można rozstrzygnąć takiej pomyłki nigdy. Tutaj również nie można. Ponieważ niespodzianie Borkman umiera i wątpliwości u tego i owego widza budzi. Warto zanotować szczegół zajmujący: w drugim akcie ktoś puka. Borkman układa włosy, poprawia coś koło krawatki, staje przy biurku w pozie stanowczo historycznej, zgodnie z pojęciem człowieka wielkiego. Wchodzi tylko Foldal! Borkman spodziewał się wszystkich! Mieli przyjść, żeby go wezwać do podjęcia wielkiego dzieła. On do nich nie pójdzie, wówczas bowiem mniemanie rozpryśnie się całkiem. Poczucie przeznaczenia mają aktorowie bardziej żywe, niż wszyscy inni ludzie. Lecz, jak powiedziano, to urojenia.

Co do osób samych, nie bardzo są żywe, to rzecz niewątpliwa. Ostre przeciwstawienia, którym brak cieni i odcieni. Ludzie tu odgrywają raczej role, z których nigdy nie wypadają. Tak, że można z nich ułożyć schemat pojęć, a nawet dla ożywienia podstawić postaci najróżnorodniejsze: z legendy, z historyi, jednem słowem z poezyi. Rzeczywistość nie utraciłaby nic ani obecność skutkiem tego. Ostre kontrasty zacierają stopnie tak, że ludzie ci wszyscy są jednacy. Na biegunach i na krańcach przeciwległych ludzie są cisami i robią tosamo, chociaż pozornie wygląda to inaczej. Mówią słowa i robią rzeczy przepisane twardem i nieugiętem prawem schematów. St. Lack.
